

## BIAŁY STOŻEK AŁAIDU

*Embriomechanika jest to nauka o modelowaniu procesów rozwoju biologicznego i teoria konstruowania samorozwijających się mechanizmów.*  
(Uwaga autorów.)

### 1

Wachłakow zwrócił się do Aszmarina:

— Pojedzie pan na wyspę Szumszu.

— Gdzie to jest? — zapytał pochmurnie Aszmarin.

— Północne Wyspy Kurylskie. Wylatuje pan dziś o dwudziestej trzydzięci. Towarowo — pasażerskim Nowosybirsk — Port Opatrzności.

Postanowiono wypróbować mechanozarodniki w różnych warunkach. Instytut zajmował się głównie sprawami międzyplanetarnymi, dlatego z istniejących czterdziestu siedmiu grup trzydzięci udawało się na Księżyc i inne planety. Pozostałe 17 grup miały pracować na Ziemi.

— Dobrze — odparł powoli Aszmarin.

Spodziewał się, że powierzą mu grupę międzyplanetarną, chociażby księżycową. Miał na to pewną szansę, gdyż dawno już nie czuł się tak dobrze jak teraz. Był w doskonałej formie i do ostatniej chwili nie tracił nadziei. Ale Wachłakow nie wiadomo czemu powziął inną decyzję i nie można było nawet rozmówić się z nim po ludzku, bo w gabinecie sterczeli jacyś obcy ludzie z niezadowolonymi gębami.

— Dobrze — powtórzył spokojnie.

— Siewierokurylsk już wie — powiedział Wachłakow. — W Bajkowie ustalicie konkretnie miejsce doświadczenia.

— Gdzie to jest?

— Na Szumszu. Administracyjna stolica Szumszu. — Wachłakow splótł palce i patrzył na ścianę. — Sermus też zostaje na Ziemi — dodał. — Jedzie na Saharę. Aszmarin zbył to milczeniem.

— No właśnie — ciągnął Wachłakow. — Dobrałem już panu pomocników. Będzie pan miał dwóch pomocników. Dzielni chłopcy.

— Nowicjusze — rzekł Aszmarin.

— Dadzą sobie radę — odparł szybko Wachłakow. — Przeszli przygotowanie ogólne. Dzielni chłopcy, mówię panu. Potrafią się zachować w każdej sytuacji.

Nieznajomi w gabinecie uśmiechnęli się z szacunkiem. Wachłakow dorzucił:

— Nawiasem mówiąc, jeden z nich był również desantowcem.

— Dobrze — powiedział Aszmarin. — Czy to wszystko?

— Wszystko. Może pan wyruszać, życzę powodzenia. Pański ładunek i ludzie są w sto szesnastym.

Aszmarin skierował się do drzwi. Wachłakow zawahał się i powiedział jeszcze:

— I wracaj prędko, kolego. Mam dla ciebie ciekawy temat.

Aszmarin zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się chwilę. Przypomniał sobie, że sto szesnaste laboratorium znajduje się o pięć pięter niżej, i skierował się do windy. W windzie spotkał Tacudzo Misimę, krępego Japończyka z ogoloną głową, w niebieskich okularach. Misima zapytał:

— Dokąd udaje się pańska grupa, panie Fiodorze?

— Na Wyspy Kurylskie — odparł Aszmarin.

Misima przymrużył zapuchnięte powieki, wyjął chustkę do nosa i zaczął przecierać okulary. Aszmarin wiedział, że grupa Misimy udaje się na Merkurego, na Płonące Płasko — wzgórze. Misima miał dwadzieścia osiem lat i nie zrobił jeszcze swego pierwszego miliarda kilometrów. Winda stanęła.

— Sajonara, Tacudzo. Jarosiku — powiedział Aszmarin.

Misima uśmiechnął się szeroko.

— Sajonara, Fiodor-san — odparł.

W laboratorium numer sto szesnaste było widno i pusto. W prawym rogu stało Jajko — wypolerowana kula sięgająca połowy ludzkiego wzrostu. W lewym — siedzieli dwóch ludzi, którzy wstali przy wejściu Aszmarina. Aszmarin zatrzymał się i przyjrzał im badawczo. Mogli mieć nie więcej niż po dwadzieścia pięć lat. Jeden był wysoki, jasnowłosy o nieładnej, czerwonej twarzy. Drugi niższy, smagły, przystojny, w typie hiszpańskim, w zamszowej kurteczce i ciężkich butach sportowych. Aszmarin włożył ręce do kieszeni, wzniosł się na palce i znów opuścił na pięty. „Nowicjusze” — pomyślał. Niespodziewanie zabolął go prawy bok, w tym miejscu gdzie brakowało dwóch żeber.

— Dzień dobry — powiedział. — Nazywam się Aszmarin.

Smagły wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

— Wiemy. — Spoważniał i przedstawił się: — Kuźma Soroczyński.

— Wiktor Galcew — powiedział jasnowłosy. „Ciekawe, który z nich był desantowcem — pomyślał Aszmarin. — Z pewnością ten Hiszpan, Kuźma Soroczyński”. I zapytał:

— Który z was brał udział w desancie?

— Ja — odparł jasnowłosy Galcew.

— I za cóż pana...? — zapytał Aszmarin. — Jeżeli to nie sekret.

— Żaden sekret — odpowiedział Galcew. — Dyscyplina.

Spojrzał Aszmarinowi prosto w oczy. Miał jasnoniebieskie oczy, ocienione gęstymi, kobiecymi rzęsami, które dziwnie nie pasowały do jego wulgarniej, czerwonej twarzy.

— Tak — rzekł Aszmarin. — Desantowiec musi być zdyscyplinowany. Każdy człowiek powinien być zdyscyplinowany. Zresztą to tylko moje osobiste zdanie. Co pan umie?

Zauważył, że Galcew ściągnął brwi, i sprawiło mu to pewną satysfakcję. Powtórzył:

— Co pan umie, Galcew?

— Jestem biologiem — odparł Galcew. — Specjalność — nematody.

— T-a-ak... — rzekł Aszmarin i zwrócił się do Soroczyńskiego. — A pan?

— Inżynier gastronom — powiedział Soroczyński i znów pokazał białe zęby w uśmiechu.

„Wspaniale — pomyślał Aszmarin. — Specjalista od glist i cukiernik. Niezdyscyplinowany desantowiec i zamszowa kurteczka. Dzielni chłopcy. Zwłaszcza ten niby desantowiec. Niech diabli wezmą Wachłakowa”. Aszmarin wyobraził sobie, jak Wachłakow dobierając starannie i skrupulatnie skład grup międzyplanetarnych spośród dwóch tysięcy ochotników spojrzał na zegarek, rzucił okiem na wykaz i powiedział: „Grupa Aszmarina, Wyspy Kurylskie. Aszmarin to człowiek doświadczony. Wystarczy mu trzech ludzi. Nawet dwóch. To przecież nie Merkury ani Płonące Płaskowzgórze. Damy mu chociażby tego Soroczyńskiego i tegoj Galcewa. Zwłaszcza że Galcew też był desantowcem”.

— Czy jesteście przygotowani do pracy? — zapytał.

— Tak — odparł Galcew.

— Jeszcze jak — rzekł Soroczyński. — Obkuci. Aszmarin podszedł do Jajka i dotknął jego chłodnej, wypolerowanej powierzchni. Po czym zwrócił się do Galcewa: — Czy pan wie, co to jest?

Galcew wznosił oczy w górę, zastanowił się i wyrecytował :

— Embriomechaniczna aparatura MZ-8. Męchanozarodnik i model nr osiem. Samowystarczalny, samofozwijający się układ mechaniczny, łączący w sobie programowe kierowanie MChW — mechanochromozomy Wachłakowa, układ przyjmujących i wykonawczych organów, układ dygiestalny i układ energetyczny. MZ-8 jest embrionalno-mechaniczną aparaturą, która zdolna jest w każdych warunkach i z dowolnego surowca przekształcać się w każdą przewidzianą programem konstrukcję. MZ-8 jest przeznaczony...

— Teraz pan — zwrócił się Aszmarin do Soroczyńskiego. Soroczyński odpowiedział bez namysłu:

— Ten oto egzemplarz MZ — 8 przeznaczony jest do prób w warunkach ziemskich. Program typowy, typ 64: zarodnik winien się przekształcić w hermetyczną kopułę mieszkalną na sześć osób z przepustem i filtrem tlenowym.

Aszmarin spojrział w okno i zapytał:

— Waga?

— Około półtora cetnara.

Pomocnicy w grupie eksperymentalnej mieli prawo tego wszystkiego nie wiedzieć.

— Dobrze — powiedział Aszmarin. — A teraz ja wam powiem to, czego nie wiecie. Po pierwsze Jajko zastępuje 19 tys. godzin pracy wykwalifikowanego człowieka. Po drugie, waży rzeczywiście półtora cetnara i gdy zajdzie potrzeba, będziecie je musieli dźwigać na własnych barkach.

Galcew skinął głową, a Soroczyński powiedział:

— Naturalnie, że będziemy.

— To świetnie — rzekł Aszmarin. — Zaczynajcie od razu. Przetoczcicie je do windy i sprowadzicie na dół. Potem udacie się do magazynu po aparaturę rejestrującą. Z całym tym ładunkiem zjawicie się na miejskim lotnisku o ósmej wieczór. Postarajcie się nie spóźnić.

Odwrócił się i wyszedł. Po chwili rozległ się przeciągły łoskot: grupa Aszmarina przystąpiła do wykonania pierwszego zadania.

## 2

O świcie towarowo-pasażerski stratoplan zrzucił grupę na pterokarze nad Drugą Cieśniną Kurylską. Galcew z wielką maestrią wyprowadził pterokar z lotu nurkowego, rozejrzał się, popatrzył na mapę, na kompas i od razu znalazł Bajkowo — kilka rzędów jednopiętrowych budynków z białego i czerwonego litoplastu obejmujących półkolem niewielką, lecz głęboką zatokę. Pterokar wylądował na bulwarze. Wczesny przechodzień (młodzieniec w koszulce sportowej i brezentowych spodniach) wskazał im, gdzie znajduje się administracja. Dyżurny administrator wyspy, pełniący również funkcję naczelnego agronoma — niemłody, przygarbiony Ain powitał ich uprzejmie.

Po wysłuchaniu Aszmarina zaproponował do wyboru parę niewielkich sopek na północnym wybrzeżu. Mówił po rosyjsku dość dobrze, czasem tylko zatrzymywał się w połowie słowa, jakby miał trudności z akcentem lub też trochę się jąkał.

— Wybrzeże północne — to dosyć daleko — powiedział. — I nie ma tam dobrych dróg. Ale wy macie pterokar. A poza tym nie mogę wam zaproponować nic leżącego bliżej. Słabo się znam na doświadczeniach fizycznych. Ale większa część wyspy jest zajęta pod plantacje, basztany, inspekty. Wszędzie teraz pracuje młodzież szkolna. Nie mogę ryzykować.

— Nie ma żadnego ryzyka — powiedział Soroczyński. — Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Dziękuję — powiedział Aszmarin. — Wybrzeże północne całkowicie nam odpowiada.

— Tak — powiedział Ain. — Tam nie ma inspektów ani plantacji. Rośnie tam tylko brzoza. I jeszcze gdzieś tam pracują archeolodzy.

— Archeolodzy? — zdziwił się Soroczyński.

— Dziękuję — powtórzył Aszmarin. — Udamy się tam natychmiast.

— Zaraz będzie śniadanie — rzekł Ain. Śniadanie zjedli w milczeniu.

— Dziękuję — rzekł Aszmarin wstając. — Sądzę, że musimy się śpieszyć.

— Do widzenia — pożegnał ich Ain. — Jeżeli będziecie czegoś potrzebowali, zwracajcie się do mnie. Bez ceremonii.

— Dobrze, bez ceremonii — powiedział Soroczyński. Aszmarin przesunął po nim wzrokiem i znów zwrócił się do Aina.

— Do widzenia — rzekł.

W pterokarze powiedział:

— Jeżeli pan, młodzieńcze, jeszcze raz sobie na coś podobnego pozwoli, wyprawię pana z powrotem.

— Przepraszam — odparł Soroczyński i zaczerwienił się gwałtownie. Jego gładka, smągła twarz z rumieńcem stała się jeszcze piękniejsza.

Na wybrzeżu północnym rzeczywiście nie było baszta — nów ani inspektów, była tylko brzoza. Brzoza kurylska rośnie „leżąc”, ścięte się po ziemi i jej wilgotne, sękate pnie i gałęzie tworzą zwarte, nieprzebyte zarośla. Z góry zarośla brzozy kurylskiej wyglądają jak nieszkodliwe zielone łączki, nadające się całkowicie na lądowisko dla niewielkich maszyn. Ani Galcew, który prowadził pterokar, ani Aszmarin i Soroczyński nie mieli pojęcia o kurylskiej brzozie. Aszmarin wskazał na okrągłą sopkę i zdecydował: „Tutaj”. Soroczyński spojrzał nieśmiało na Aszmarina i powiedział: „Bardzo dobre miejsce”. Galcew wypuścił podwozie i skierował pterokar do lądowania wprost w środek dużej zielonej płaszczyzny u podnóża okrągłej sopki. Po upływie minuty pterokar z trzaskiem zarył się dziobem w bladą zieleń kurylskiej brzozy. Aszmarin usłyszał trzask, ujrzał miliony różnobarwnych gwiazd i na krótki czas stracił przytomność.

Potem otworzył oczy i przede wszystkim zobaczył rękę. Ręka była duża, opalona, ze świeżymi zadrapaniami na palcach, które jak gdyby bezwiednie przesuwają się po klawiszach tablicy sterowniczej. Ręka zniknęła i ukazała się ciemnoczerwona twarz z błękitnymi oczami i kobiecymi rzęsami.

— Towarzyszu Aszmarin — powiedział Galcew poruszając z trudem zranionymi wargami.

Aszmarin stęknął i spróbował usiąść. Bolał go bardzo prawy bok i zdawało mu się, że ma zranione czoło. Dotknął czoła i spojrzał na palce. Były we krwi. Popatrzył na Galcewa, który wycierał usta chustką.

— Mistrzowskie lądowanie — powiedział. — Jestem zachwycony, towarzyszu specjalisto od nematodów.

Galcew milczał. Przyciskał do ust zwiniętą w kłębek chusteczkę, twarz jego była nieruchoma. Zabrział wysoki, drżący głos Soroczyńskiego:

— On nie jest winien.

Aszmarin powoli odwrócił głowę i spojrzał na Soroczyńskiego. Soroczyński był wzburzony.

— Galcew nie jest winien — powtórzył i odsunął się.

Aszmarin uchylił drzwiczki kabiny, wysunął głowę na zewnątrz i parę sekund oglądał wyrwane z korzeniami, połamane pnie wplątane w podwozie. Wyciągnął rękę, zerwał kilka szorstkich, błyszczących listeczków, roztarł je w palcach i rozgryzł. Listki były cierpkie i gorzkawe. Aszmarin splunął i zapytał nie patrząc na Galcewa:

— Maszyna cała?

— Cała — odparł Galcew przez chustkę.

— Wybiliście zęb? — zapytał Aszmarin.

— Tak — powiedział Galcew. — Wybiłem.

— Zagoi się do wesela — pocieszył go Aszmarin. — Spróbujcie unieść maszynę na wierzchołek sopki.

Wydobyć się z idiotycznych krzaków było nie tak łatwo, ale wreszcie Galcew wylądował na czubku okrągłego wzgórza. Aszmarin wysiadł i rozejrzał się, rozcierając ręką prawy bok. Z tego miejsca wyspa robiła wrażenie bezludnej i płaskiej jak stół. Sopka była naga i ruda od lawy. Od wschodu pięły się po niej zarośla brzozy kurylskiej, a na południu rozciągały się zielone prostokąty plantacji arbuźów. Do zachodniego wybrzeża było ze siedem kilometrów, a dalej w liliowej mgłę zarysowywały się bladofioletowe kontury gór, a jeszcze dalej i bardziej na prawo na szafirowym tle nieba nieruchomo leżał dziwaczny trójkątny obłok o wyraźnie zakreślonych konturach. Brzeg północny był znacznie bliżej. Opadał stromo ku morzu, nad urwiskiem wznosiła się jakaś niedorzeczna wieża — zapewne dach starodawnego japońskiego umocnienia. Koło wieżyczki bieleł się namiot i krzątały maleńkie figurki ludzkie, f Byli to archeolodzy, o których wspomniał dyżurny administrator. Aszmarin wciągnął nosem powietrze. Pachniało słoną wodą i rozgrzanymi skałami. I było bardzo cicho, nie dolatywał nawet szum morza.

„Dobry teren — pomyślał Aszmarin. — Jajko można postawić tutaj, aparaty filmowe i inne urządzenia na zboczach, a obóz rozbić niżej, przy plantacjach. Arbuzy są pewnie jeszcze niedojrzałe”. Potem pomyślał o archeologach. Znajdują się wprawdzie w odległości jakichś pięciu kilometrów, ale w każdym razie należy ich uprzedzić, żeby się zbyt nie zdziwili, gdy mechanozarodnik zacznie działać. Ciekawe, co archeolodzy mają tu do roboty.

Aszmarin przywołał Galcewa i Soroczyńskiego i powiedział:

— Doświadczenie przeprowadzimy tutaj. Wydaje mi się, że teren jest odpowiedni. Surowiec — lawa, tuf, akurat to, co potrzeba. Zaczynajcie.

Galcew i Soroczyński podeszli do pterokaru i otworzyli bagażnik. W bagażniku zamigotały słoneczne zajączki. Soroczyński włożył do wnętrza, stęknął i nagle jednym pchnięciem wytoczył Jajko na ziemię. Gniotąc z trzaskiem lawę, Jajko potoczyło się parę kroków i zatrzymało. Galcew ledwo zdążył uskoczyć z drogi.

— Niepotrzebnie — powiedział cicho. — Poderwiesz się.

Soroczyński zeskoczył i odparł basem:

— To nic, jesteśmy przyzwyczajeni.

Aszmarin obszedł Jajko dookoła, spróbował je popchnąć. Jajko nawet nie drgnęło.

— Doskonale — powiedział. — Teraz aparaty filmowe. Stracili mnóstwo czasu ustawiając kamery: z ultraczerwonym obiektywem, ze stereoobiektywem, z obiektywem rejestrującym temperaturę, z kompletem filtrów świetlnych. Było już koło dwunastej, gdy Aszmarin powoli otarł rękawem pot z czoła i wyciągnął z kieszeni plastikowy futerał z aktywatorem. Galcew i Soroczyński przystanęli z tyłu, zaglądając mu przez ramię. Aszmarin delikatnie wytrząsnął aktywator na dłoń — była to lśniąca rurka z przyssawką na jednym końcu i czerwonym, wyżłobionym guziczkiem z drugiej. „Zaczynamy” — powiedział na głos. Podeszedł do Jajka i przycisnął przyssawkę do wypolerowanej powierzchni metalu. Wyczekał chwilę i wielkim palcem nacisnął czerwony guziczek.

Teraz chyba tylko za pomocą bezpośredniego trafienia z karabinu raketowego można byłoby zahamować procesy, które rozpoczynały się pod lśniącą powłoką. Seria impulsów o wysokiej częstotliwości pobudziła działanie mechanizmu; setki mikroreceptorów wysłały do mózgu pozytonowego i do mechanochromozomów informacje o środowisku zewnętrznym; rozpoczęło się strojenie mechanozarodnika w warunkach polowych. Nie wiadomo ile to potrwa czasu, ale gdy strojenie się skończy — mechanizm zacznie działać.

Aszmarin spojrział na zegarek. Była dwunasta zero pięć. Z wysiłkiem oderwał aktywator od powierzchni Jajka, włożył do futerału i schował do kieszeni. Potem obejrzał się na Galcewa i Soroczyńskiego. Stali za jego plecami i w milczeniu patrzyli na Jajko. Aszmarin po raz ostatni dotknął Jajka i powiedział: „Idziemy”.

### 3

Aszmarin polecił zatrzymać się między sopką a plantacją. Z tego miejsca dobrze było widać Jajko — srebrna kulka na rudym wzgórzu pod szafirowym niebem. Aszmarin posłał Soroczyńskiego do archeologów i usadowił się na trawie w cieniu pterokaru. Galcew zapadł już w drzemkę, kryjąc się przed słońcem pod pterokarem. Aszmarin palił i spoglądał to na wierzchołek sopki, to na dziwny, trójkątny obłok na zachodzie. Wreszcie nie wytrzymał i sięgnął po lornetkę. Jak się można było spodziewać, trójkątny obłok okazał się jakimś ośnieżonym szczytem górskim, prawdopodobnie nawet wierzchołkiem wulkanu. Przez lornetkę widać było wąskie pasma, na których śnieg stopniał, można było nawet odróżnić plamy śniegu poniżej nierównego, białego krateru. Aszmarin odłożył lornetkę i pomyślał, że Jajko pęknie najprawdopodobniej w nocy. Świetnie się składa, bo światło dzienne ma zbyt wielki wpływ na pracę aparatów filmowych. Później pomyślał, że Sermus pewnie pokłócił się z Wałchakowem, ale jednak pojechał na Saharę. Wreszcie przyszło mu do głowy, że Misima w tej chwili załadowuje się na raketodromie w Kirgizji, i znowu poczuł dotkliwy ból w prawym boku. „Starość nie radość” — mruknął i zerknął na Galcewa. Desantowiec leżał na brzuchu z głową opartą na rękach.

Po upływie półtorej godziny wrócił Soroczyński. Był goły do pasa, jego smagła skóra lśniła od potu. Koszulę i zamszową kurteczkę niósł pod pachą. Soroczyński przykucnął przed Aszmarinem i połyskując zębami opowiedział, że archeolodzy dziękują za ostrzeżenie i bardzo zainteresowali się eksperymentem. Jest ich czworo, ale pomagają im uczniowie z Bajkowa i Siewierokurylska, odkopują podziemne umocnienia japońskie z połowy ubiegłego wieku i wreszcie, że na czele grupy stoi „bardzo — miła dziewczynka”.

Aszmarin podziękował mu i poprosił, aby zajęli się obiadem. Siedział w cieniu pterokaru i gryząc źdźbło trawy spoglądał na daleki biały stożek, Soroczyński obudził Galcewa i krzatali się na stronie rozmawiając półgłosem.

— Zrobię zupę — powiedział Soroczyński — a ty, Witku, przygotuj drugie danie.

— Mieliśmy gdzieś konserwę z kury — ochryplym ze snu głosem powiedział Galcew.

— Masz swoją kurę — odparł Soroczyński. — Archeolodzy są bardzo sympatyczni. Jeden jest cały obrośnięty — nie ma nagiego miejsca na twarzy. Odkopują umocnienia japońskie z czterdziestych lat zeszłego stulecia. Tu była twierdza podziemna z dwudziestotysięcznym garnizonem. Potem wykończyły ich wojska radzieckie, ściśle mówiąc, wzięły do niewoli wraz ze wszystkimi armatami i czołgami. Ten brodaty podarował mi kulę rewolwerową. Zobacz!

Galcew powiedział niechętnie:

— Nie pchaj mi pod nos tego zardzewiałego żelastwa. Zapachniała zupa.

— Na czele grupy stoi — ciągnął Soroczyński — śliczna dziewczyna. Blondynka, taka zgrabna, pełna wdzięku. Wsadziła mnie do gniazda ogniowego i kazała patrzeć przez strzelnicę. Z tego miejsca, mówiła, można było trzymać pod ogniem całe północne wybrzeże.

— No i co? — zapytał Galcew. — Rzeczywiście można było trzymać?

— A lichy wie. Prawdopodobnie. Więcej na nią patrzyłem. Potem razem mierzyliśmy grubość murów.

— Całe dwie godziny mierzyliście?

— Uhm. A potem zorientowałem się, że ma takie samo nazwisko jak ten brodaty, i zaraz sobie poszedłem. A w tych kazamatach, muszę ci powiedzieć, obrzydliwie. Ciemno i pleśń na ścianach. Gdzie jest chleb?

— Tu leży — wskazał Galcew. — A może to po prostu siostra tego brodacza?

— Może — odparł Soroczyński. — A co słyhać z Jajkiem?

— Nic nie słyhać — odrzekł Galcew.

— To dobrze. Towarzyszu Aszmarin, prosimy do stołu. Podczas obiadu Soroczyński oznajmił, że japońskie słowo „totika” pochodzi od rosyjskiego „toczka” (kropka) — czyli punkt ogniowy, a rosyjska nazwa „dot” od angielskiego „dot”, co też znaczy punkt, kropka. Potem zaczął się obszernie rozwódzić o bunkrach, kazamatach, strzelnicach i sile ognia na jeden metr kwadratowy i z tego powodu Aszmarin starał się jeść jak najprędzej i podziękował za owoce. Po obiedzie polecił Galcewowi obserwować Jajko, wlaźł do pterokaru i zdrzemnął się. Dokoła panowała zdumiewająca cisza, tylko Soroczyński zmywający naczynia nad strumieniem podśpiewywał od czasu do czasu. Galcew siedział z lornetką i pilnie wpatrywał się w wierzchołek sopki.

Aszmarin zbudził się, gdy słońce już zachodziło, z południa nadciągał ciemnofioletowy zmierzch, zrobiło się chłodno. Góry na zachodzie poczerniały, stożek wulkanu wisiał nad horyzontem jak szary cień. Jajko na czubku sopki lśniło purpurowymi błyskami. Nad plantacjami snuły się sine mgły. Galcew siedział w tej samej pozycji i słuchał Soroczyńskiego.

— W Astrachaniu — mówił Soroczyński — jadłem Różę Szacha. To wyjątkowo piękny arbuz. Ma smak ananasa.

Galcew pokastywał.

Aszmarin posiedział jeszcze parę minut bez ruchu, dokuczał mu bardzo ból w boku. Przypomniało mu się, jak z Gorbowskim jedli arbuzy na Wenus. Z Ziemi przysłano cały statek arbuźów dla stacji planetologicznej. Jedli te arbuzy wgrzyzając się w chrzęszczący miąższ, sok ściekał im po brodzie. A potem strzelali jeden w drugiego śliskimi, czarnymi pestkami.

— Palce lizać, mówię ci, słowo gastronomi!

— Ciszej — powiedział Galcew — obudzisz Starego. Aszmarin usadowił się wygodniej, oparł podbródek o oparcie przedniego fotela i przymknął oczy. W kabinie było ciepło i trochę duszno — metaloplastyk kabiny ochładzał się powoli.

— Więc nigdy nie latałeś z naszym Starym? — zapytał Soroczyński.

— Nie — odpowiedział Galcew.

— Żal mi go trochę. A zarazem zazdroszczę mu. Ma za sobą życie, którego ja nigdy nie przeżyję. Ani wielu innych. Ale jednak już je przeżył.

— Dlaczego uważasz, że przeżył? — zapytał Galcew. — Przestał tylko latać.

— Ptak, który przestał latać... — Soroczyński umilkł. — W ogóle skończyła się rola desantowców — oświadczył niespodziewanie.

— Bzdura — odparł spokojnie Galcew.

Aszmarin usłyszał, że Soroczyński poruszył się gwałtownie.

— Spójrz na nie — powiedział. — Będą je wytwarzać setkami i zrzucać na nieznanne i niebezpieczne światy. I każde Jajko zbuduje tam miasto, lotnisko raketowe, gwiazdo — lot.

Zbudują kopalnie i zakłady przemysłowe. Będą łapać i badać twoje nematody. A desantowcy będą tylko gromadzić obserwacje i zadowalać się zbieraniem pianki.

— Bzdura — powtórzył Galcew. — Miasto, kopalnie... A hermetyczna kopuła na sześć osób?

— Jaka znów kopuła?

— Kto to będzie — te sześć osób?

— Wszystko jedno — powiedział Soroczyński. — Tak czy inaczej koniec z desantowcami. Hermetyczna kopuła to dopiero początek. Najpierw będą latać automaty, które zrzucą Jajka, a potem dopiero ludzie przyjdą na gotowe...

Zaczął się rozwodzić nad perspektywami embriomechaniki, cytując dosłownie znany artykuł Wachłakowa. Dużo się o tym mówi, pomyślał Aszmarin. I nie bez słuszności. Gdy przeprowadzano badania nad pierwszymi gwiazdolotami automatami, również dużo mówiono, że astronauta będą latali tylko na gotowe. A gdy Akimow i Sermus wypuścili pierwsze GrCybZw — grupy cybernetycznych zwiadowców — Aszmarin chciał porzucić zawód desantowca. Działo się to przed dwudziestu laty i od tego czasu nieraz musiał skakać w piekło w ślad za zdruzgotanymi szczątkami GrCybZwów i robić to, czego oni zrobić nie mogli. Oczywista rzecz, że i statki automaty, i cybernetyczni zwiadowcy, i embriomechanika — to wszystko wielokrotnie zwiększa siłę człowieka, ale mechanizmy nie są zdolne zastąpić całkowicie żywego mózgu i gorącej krwi. I z pewnością nigdy nie zdołają. Nowicjusz, pomyślał o Soroczyńskim. I nadmiernie gadatliwy.

Gdy Galcew po raz czwarty powiedział „bzdura”, Aszmarin wysiadł z maszyny. Na jego widok Soroczyński umilkł i zerwał się. Trzymał w ręku połówkę niedojrzałego arbuza, w którym tkwił nóż. Galcew siedział w dalszym ciągu ze skrzyżowanymi nogami.

— Chcecie arbuza, towarzyszu Aszmarin? — zapytał Soroczyński.

Aszmarin zaprzeczył ruchem głowy, wsunął ręce do kieszeni i utkwiał wzrok w wierzchołku sopki. Czerwone odbłaski na wypolerowanej powierzchni Jajka gasły powoli. Ściemniało się. Z mgły wyłoniła się nagle jaskrawa gwiazda i wolno popęzła po ciemnym szafirze nieba.

— Sputnik numer osiem — powiedział Galcew.

— Nie — stanowczo oświadczył Soroczyński. — To Sputnik numer siedemnaście. Chociaż nie. To Sputnik — lustro.

Aszmarin, który wiedział, że to Sputnik numer osiem, zacisnął zęby i skierował się w górę sopki. Soroczyński nudził go śmiertelnie, trzeba też było sprawdzić aparaty filmowe.

Gdy wracał, zobaczył płomień. Nieokiełznany Soroczyński rozpałił ognisko i stał teraz nad nim w malowniczej pozie, „wymachując rękami.

— ...Cel — to tylko środek — usłyszał Aszmarin. — Szczęście nie polega na szczęściu, lecz na dążeniu do szczęścia...

— Już to gdzieś czytałem — powiedział Galcew.

„Ja też — pomyślał Aszmarin. — Może kazać Soroczyńskiemu pójść spać?” Aszmarin spojrział na zegarek. Świecące wskazówki pokazywały północ. Było zupełnie ciemno.

#### 4

Jajko pękło o drugiej minut pięćdziesiąt trzy. Noc była bezksiężycowa. Aszmarin drzemał przy ognisku zwrócony, ku niemu prawym bokiem. Obok niego kiwał się czerwonołicy Galcew, po drugiej stronie Soroczyński czytał gazetę, szeleszcząc papierem. I wtedy Jajko pękło.

Rozległ się ostry, przejmujący dźwięk. Potem nad wierzchołkiem sopki rozbłysło pomarańczowe światło. Aszmarin spojrział na zegarek i wstał. Wierzchołek wzgórze zarysował się



dość wyraźnie na tle usianego gwiazdami nieba. I gdy oślepienie blaskiem ogniska oczy przywykły do ciemności, wszyscy zobaczyli mnóstwo słabych, czerwonych płomyków, krążących nad miejscem, w którym znajdowało się Jajko.

— Zaczęło się — złowieszczym szeptem powiedział Soroczyński. — Zaczęło się! Witek, obudź się, zaczęło się!

— Może byś wreszcie umilkł? — powiedział szybko Galcew. Mówił również szeptem.

Spośród nich trzech tylko Aszmarin wiedział, co się działo na wzgórzu. Przez pierwsze dziesięć godzin po włączeniu urządzeń mechanozarodnik przystosowywał się do warunków. Abstrakcyjna załoga umieszczona w pozytro — nowej rozdzielni przekształcała się i udoskonalała stosownie do temperatury zewnętrznej, składu atmosfery, ciśnienia atmosferycznego, wilgoci i dziesiątków innych czynników, określonych przez receptory. Układ dygiestalny, wspianały „żołądek o wysokiej częstotliwości” układu embriomechanicznego przygotowywał się do przeróbki lawy i tufu w spolimeryzowany litoplast, akumulatory neutronowe szykowały się do wydzielania ścisłych porcji energii dla każdego procesu. Gdy skończyło się strojenie, mechanizm zaczął działać. Wszystko w Jajku, co było zbędne do rozwoju w danych warunkach, przekształcało się i wzmacniało robocze organy — efektory. Wreszcie przyszedł czas na skorupę. Skorupa została rozbita i mechanozarodnik zaczął zapoznawać się z rodzimą glebą.

Liczba płomyków ustawicznie wzrastała, poruszały się one coraz prędej. Rozległ się świst i zgrzyt — efektory wgrzyzały się w grunt i meły tuf na proszek. „Pyf, pyf!” — bezgłośnie wzbily się i popłynęły w gwieździste niebo kłęby lśniącego dymu. Drżący nierówny odbłask odsłonił na chwilę dziwaczne, poruszające się ciężko kształty, po czym znów wszystko zniknęło. Świsty i zgrzyty wzmożyły się.

— Może podejźmy bliżej? — powiedział błagalnie Soroczyński.

Aszmarin nie odpowiedział. Przypomniały mu się pierwsze próby z mechanozarodnikiem. — prototypem Jajka. Było to kilka lat temu. Wówczas był zupełnie młodym adeptem embriomechaniki. W dużej hali obok instytutu umieszczono mechanozarodnik — osiemnaście podobnych do kas pancernych szaf pod oknami i wielki stos cementu na środku. W stosie cementu były ukryte efektory i układ dygiestalny. Wachłakow dał znak ręką i któryś z nich włączył prąd. Siedzieli w hali do późnej nocy, zapominając o wszystkim na świecie. Stos cementu topniał i pod wieczór w kłębach dymu i pary wyłoniły się zarysy typowego trzypokojowego domku z litoplastu, z centralnym ogrzewaniem i własną elektrownią. Był zupełnie taki sam jak fabryczny, tylko w łazience został ceramiczny sześcian — „żołądek” i skomplikowane złącza hemomechanicznych efektorów. Wachłakow obejrzał domek, trącił efektory nogą i powiedział: ,

— No, dosyć już tego chałupnictwa. Trzeba zbudować Jajko.

Po raz pierwszy wówczas została użyta ta nazwa. Potem było wiele pracy, osiągnięć i bardzo wiele niepowodzeń. Embriomechaniczne układy uczyły się same nastrojać, przystosowywać się do gwałtownej zmiany warunków, odbudowywać się. Uczyły się niezawodnie służyć człowiekowi w najbardziej skomplikowanych i niebezpiecznych warunkach. Uczyły się rozwijać w domy, koparki, rakiety, uczyły się nie rozbijać przy upadku z olbrzymich wysokości, nie niszczyć w falach roztopionego metalu, nie lękać się absolutnego zera. Setki ludzi, dziesiątki instytutów i laboratoriów trzymały się nad tym, aby mechanozarodnik stał się tym, czym był teraz — Jajkiem. To dobrze, że Aszmarinowi przypadło w udziale zostać na Ziemi. Kim że w końcu jest, żeby pretendować na więcej?

Na szczycie wzgórza kłęby świecącego dymu wlatywały coraz częściej i częściej, trzask, zgrzyt i świst zlały się w ustawiczny, przerywany łoskot. Błędne czerwone ogniki tworzyły łańcuszki, łańcuszki zlewały się w fantastyczne, ruchome smugi. Różowa luna rozprzestrzeniała

się nad nimi i można już było odróżnić kształt czegoś wielkiego, garbatego, kołyszącego się jak łódź na falach.

Aszmarin znowu spojrzął na zegarek. Była za pięć czwarta. Widocznie lawa i tuf okazały się bardziej sprzyjającym materiałem — rakieta rosła znacznie szybciej niż z cementu. Ciekawe, co wykażą zmiany temperatury? Mechanizm buduje kopułę od góry do dołu i efekторы zagłębiają się przy tym coraz głębiej we wzgórzu. Żeby kopuła nie znalazła się pod ziemią, mechanozarodnik musi ustawić ją na palach lub przesunąć nieco w bok od dołu, który wykopują efekторы. Aszmarin wyobraził sobie rozżarzone do białości krawędzie rakiety, do których łopatkami efektorów dolepią: wciąż nowe i nowe cząsteczki kleistej z gorąca litoplastu.

Na chwilę na czubku sopki zapadła cisza, łoskot urwał się, słychać było tylko niewyraźny zgrzyt. Mechanizm przestrajał działanie systemu energetycznego.

— Soroczyński — zawołał Aszmarin.

— Tak — odezwał się w ciemności Soroczyński.

— Okrążcie sopkę z prawej strony i prowadźcie stamtąd obserwacje. Na górę nie wchodzić pod żadnym pozorem.

— Pędzę.

Słychać było, jak szeptem poprosił Galcewa o latarkę, po czym żółty krążek światła podskoczył parę razy po żwirze i zniknął.

Łoskot rozpoczął się znowu. Znowu nad wierzchołkiem sopki zapłonęła różowa luna. Aszmarinowi wydało się, że czarna sylwetka kopuły zmieniła trochę położenie, ale nie był tego pewien. Z irytacją pomyślał, że Soroczyńskiego powinien był posłać na drugą stronę wzgórza od razu, gdy tylko zarodnik wyklął się z Jajka. Zresztą we właściwym czasie wszystko będzie można odczytać na zdjęciach filmowych.

I nagle rozległ się ogłuszający huk. Nad wierzchołkiem buchnął czerwony płomień. Purpurowa błyskawica powoli prześliznęła się po czarnym zboczu i zgasła. Różowa luna stała się oślepiająco żółta i natychmiast zniknęła w kłębach dymu. Straszliwy wybuch rozdarł niebo i Aszmarin zobaczył ze zgrozą, jak w płomieniach i dymie zasnuwającym wierzchołek wzniósł się ogromny cień. Coś masywnego i ciężkiego, połyskującego polerowaną powierzchnią zakołysało się na chwiejnych, drżących nogach. Nastąpił drugi wybuch, jeszcze jedna rozpalona błyskawica spłynęła zygzakiem po zboczu. Ziemia zadrżała i wiszący w zadymionej lunie cień runął.

Wówczas Aszmarin pobiegł na sopkę. Wewnątrz góry coś grzmiało i trzeszczało, fale gorącego powietrza waliły z nóg i w czerwonym, migocącym świetle Aszmarin widział, jak przewracają się, ciągnąc za sobą kawały lawy aparaty filmowe — jedyni świadkowie tego, co się stało na wzgórzu.

Potknął się o jeden z aparatów, który leżał z rozkraczonymi nogami statywu. Wtedy Aszmarin zwolnił kroku, rozpalony żwir toczył się po zboczu na jego spotkanie. Na górze zapadła cisza, coś jeszcze tliło się tam w kłębach dymu. Potem znów rozległ się huk i Aszmarin zobaczył słaby, żółty błysk wybuchu.

Na wierzchołku czuć było gorącym dymem i jeszcze czymś — nieznanym, kwaśnym. Aszmarin zatrzymał się na skraju olbrzymiego leja. Właściwie nie był to lej, lecz dół o pionowych niemal ścianach, a w tym dole leżała na boku prawie gotowa rakieta, hermetycznie zamykana kopuła dla sześciu ludzi z przepustem i filtrem tlenowym. W dole tliła się rozpalona lawa, na jej tle widać było, jak słabo i bezradnie poruszają się pozbawione kierowania macki hemomechaniczne. Z dołu buchała kwaśna woń spalenizny.

— Co się stało? — zapytał Soroczyński.

Aszmarin podniósł głowę i zobaczył Soroczyńskiego po drugiej stronie dołu, na czworakach, nad samym brzegiem.

Aszmarin usiadł na skraju dołu, spuścił nogi i zaczął się zsuwać.

— Nie trzeba — powiedział Galcew. — To niebezpieczne.

— Milczeć — powiedział Aszmarin.

Należało niezwłocznie wyjaśnić, co się stało. Niepodobna, aby zawiodła konstrukcja Jajka, najdoskonalszej ze stworzonych przez człowieka maszyn. Najodporniejszego, najmądrzejszego mechanizmu.

Gwałtowny żar osmałił mu twarz. Aszmarin zmrużył oczy i ześliznął się w dół, obok rozpalonej do czerwoności krawędzi kopuły. Stał i rozejrzał się. Od razu zauważył stopione sklepienia betonowe, rdzawe, szerniałe pręty armatury i szeroki, ciemny korytarz, prowadzący gdzieś w głąb wzgórza. Zrobił krok naprzód i omal się nie przewrócił, potknąwszy się o coś ciężkiego, okrągłego. Pochylił się. Nie od razu odgadł, co przedstawia sobą ten szary, metalowy walec z zaokrąglonym zgrubieniem na końcu, a gdy odgadł, zrozumiał wszystko. Był to pocisk artyleryjski.

Sopka była wewnątrz pusta. Przed stu laty jacyś dranie zbudowali tu obetonowany ciemny skład i złożyli w nim pociski artyleryjskie. Mechanozarodnik nie mógł wiedzieć, że tu jest skład amunicji. Nie mógł wiedzieć, co to jest pocisk artyleryjski, gdyż ludzie, którzy ułożyli program jego życia od dawna zapomnieli, że kiedyś istniały pociski. Takie pociski były zdaje się naładowane trotylem. I teraz, wskutek żaru lub uderzenia, jeden z tych pocisków wybuchnął. Wyleciało w powietrze wszystko, co mogło wybuchnąć. I wspaniała maszyna przekształciła się w kapę złomu.

Z góry posypały się kamyki. Aszmarin podniósł głowę i zobaczył Galcewa, który zsuwał się ku niemu. Po przeciwległej ścianie ześlizgiwał się Soroczyński.

— Po co się tu pchacie? — zapytał Aszmarin. Galcew nie odpowiedział, a Soroczyński przemówił cienkim głosem:

— Chcemy wam pomóc.

— Nie jesteście mi potrzebni — oświadczył Aszmarin.

— My tylko... — zaczął Soroczyński i urwał.

Na ścianie za plecami Aszmarina zarysowało się pęknięcie. Kopuła zachwiała się.

— Ostrożnie! — ryknął Soroczyński.

Aszmarin zrobił krok, potknął się o pocisk i upadł. Upadł twarzą w dół i natychmiast przekreślił się na plecy. Kopuła waliła się wprost na niego. Zamknął oczy i usłyszał czyjś zdławiony jęk. Ale to jęknął on sam, gdy rozpalona krawędź rakiety runęła na niego.

## 5

Można tak po prostu leżeć i patrzeć w błękitne niebo. Tak dawno nie patrzył w niebo, a ono jest warte, aby patrzeć weń godzinami. Wiedział o tym, gdy był desantowcem, gdy skakał na 'biegun północny Wenus, gdy zdobywał Japet, gdy siedział sam w rozbitym gwiazdolicie na Transplutonie. Tam w ogóle nie było nieba, była gwiazdna pustka i oślepiająca gwiazda — Słońce. Wtedy wydawało mu się, że oddałby resztę życia za to, żeby zobaczyć błękitne niebo. Na ziemi prędko się o tym zapomina. I wspomina się dopiero, gdy przyjdzie czas, i za każdym razem okazuje się, że już za późno. A później okazuje się, że nie za późno.

— Powiedźcie, czy on wyżyje? — rozległ się głos Soroczyńskiego.

Aszmarin nie wiedział, o kogo chodzi — o niego, czy o Galcewa. Galcew leżał obok. Był nieprzytomny i jęczał z cicha. Uległ ciężkim poparzeniom, wyciągając Aszmarina spod kopuły. I Soroczyński się poparzył. Trzeba przeżyć. Nie wolno się poddawać, pomyślał Aszmarin.

Desantowcowi nie przystoi myśleć o śmierci. Przy tym katastrofa, cokolwiek by o tym mówiono, wynikła z powodu niesłuchanie głupiego przypadku. Przecież nie mógł przypuścić, że w sopce jest ukryty japoński punkt ogniowy, że dosięgnie go długa, brudna łapa zbrodni sprzed stu lat. Przypomniawszy sobie, że były okresy, gdy każda sekunda mogła być ostatnią chwilą jego życia. Raz już leżał tak, poraniony, na wznak. Tylko niebo było inne. Niebo było czarnopomarańczowe, ciągnęły się przez nie długie, czarne smugi, dał trujący huragan i nie było przy nim nikogo. Był tylko ból, mdłości jak w tej chwili i poczucie krzywdy, że wszystko się skończy.

Wpatrywał się w szafirowe niebo i wydawało mu się, że na tle błękitu ukazują się i znikają białe plamy. Usiłował zrozumieć, co to jest i dlaczego. Potem odgadł: chciał zobaczyć dziwny, nieruchomy obłok z ostrym konturem. Nadludzkim wysiłkiem dźwignął głowę. Czyjaś ręka podtrzymała mu głowę. I zobaczył biały przejrzysty stożek nad horyzontem.

— Co to? — zapytał.

— To wulkan Ałaid — odpowiedział ktoś.

— Dobrze byłoby tam... — powiedział Aszmarin. Opuścił głowę i pomyślał, że kiedyś koniecznie wdrapie się na ten stożek. Powietrze musi tam być zimne, takie zimne, że drętwieją zęby. Będzie miał ciężkie buty sportowe jak Soroczyński. Zresztą może weźmie ze sobą Soroczyńskiego.

— Piękne, błękitne niebo — powiedział głośno. Zamknął oczy i wydało mu się, że ból ustępuje. I od razu zachciało mu się spać.

— Usnął — powiedział ktoś.

Aszmarin drzemał i wydawało mu się, że stoi na białym wierzchołku Ałaidu i patrzy w błękitne niebo. Można patrzeć weń godzinami — takie jest błękitne i zadziwiająco ziemskie. Niebo, pod które się wraca.

*Przełożyła Janina Dziarnowska*